

ważnie Orszycki, jakkolwiek pytanie powtarzało się codziennie, jak również jego odpowiedź.

Oparłszy oba łokcie na stole, przygryzając lekko jeden palec u rąk złożonych przy ustach, rzekł po namyśle:

— Przynieś mi, Władziu, bombę...

— Wiem, świeżego, — uśmiechnął się chłopak.

— Tak jest! Żadnych zlewków, — dodał gość poważnie.

— Wiem, panie radco.

Gdy Władek postawił bombę piwa przed Orszyckim, ten okiem znawcy spojrzał najpierw na gęstą, równą pianę, skinął głową z uznaniem; następnie podniósł szklanicę w górę, pod światło, popatrzył, znów skinął głową i z uroczystą powagą postawił przed sobą, westchnawszy głęboko.

— Czy bombka niedobra? — spytał chłopak z uśmiechem.

Gość w odpowiedzi nadpił piwa, otarł ręką sztucznie przyćmione wąsy i odrzekł:

— Niezła! — jakkolwiek naprawdę uznawał, że piwo było dobre i nalane doskonale. Znów westchnął głęboko, wydobyl cygaro, odciął koniec, który schował do kieszeni kamizelki, zapalił cygaro od zapalniczki podanej mu przez chłopaka, smutnie pokiwał głową i przyglądał krótkie, szpakowate włosy.

— Pan radca coś nie w humorze, — rzekł chłopak dość poufale, wygładzając bibułę na stole.

— Powiadam ci, Władziu, — odrzekł sentymentalnie, wypuszczając kłęb dymu, — nie żęń się!

Chłopak wybuchnął krótkim, urywanym śmiechem i zawołał wesoło:

— Ja nigdy się nie ożenię. Co mi po babie?

— Tak się to mówi, — pokiwał posępnie głową, — a jednak ożeniłem się, — westchnął.

— Co tam panu radcy żona! — zaśmiał się, — pieniądze są, zdrowie jest, humor także, i co żona wadzi?

Orszycki z politowaniem spojrzał na chłopaka, już otworzył usta, ażeby mu powiedzieć mądrą sentencję, zdobyłą doświadczeniem, gdy któryś z gości odwołał Władzia. Orszycki westchnął i pomyślał: co taki chłystek może wiedzieć o żonie, ożeń się, dopiero poznasz.

I nie bez gorczy uprzytomnił sobie, że jego żona, Stasia, zamożna kobieta, już blisko dwa tygodnie kwęka. Zawołał nawet doktora, który kosztował aż sześć koron, a byłby wziął dziesięć, gdyby mu nie był przygotował setki biletów wizytowych.

W tej chwili wszedł do lokalu człowiek z siwą brodą, z barami rozrostłymi i zawołał grubym, jowialnym głosem:

— Dobry wieczór! Cóż to, radca sam?

— Jak prezes widzi.

Blum, niegdyś blacharz, dziś kapitalista, zwany był prezesem, gdyż kiedyś na pierwszym zebraniu założycieli kasy zaliczkowo-oszczędnościowej został obrany dla wieku swego przewodniczącym posiedzenia. Zdjął melonik, usiadł przy stole, zawołał głośno o bombę piwa, i patrząc na towarzysza stołu, spytał:

— Coś radca kwaśny, czy piwo złe?

— To, nie! Piwo niezłe, — wypił resztę i zaczął dać świeżą bombę.

— Więc co takiego, — dopytywał się prezes, — czy interes kuleje? brak zamówień?

— Ależ nie, ledwie mogę nadążyć.

— Cóż? Nie płacą?

— Ciężko, jak zwykle, ale człowiek już przywykł do tego.

— Czy może coś publicznego? Czy nowy wybieg magistracki?

— Dość mamy starych nadużyć, naco nam nowych?

— Więc to prywatne kłopoty?

— Tak jest, niestety, osobiste, — westchnął i popił piwa ze świeżej bomby.

W czasie tej rozmowy przyszli panowie Szabelski i Winecki. Przywitali się i wysłuchując rozmowy usiedli przy piwie.

— Prywatne? powiada radca, — pokręcił prezes głową, — a wolno wiedzieć, jakie to są kłopoty? czy to tajemnica?

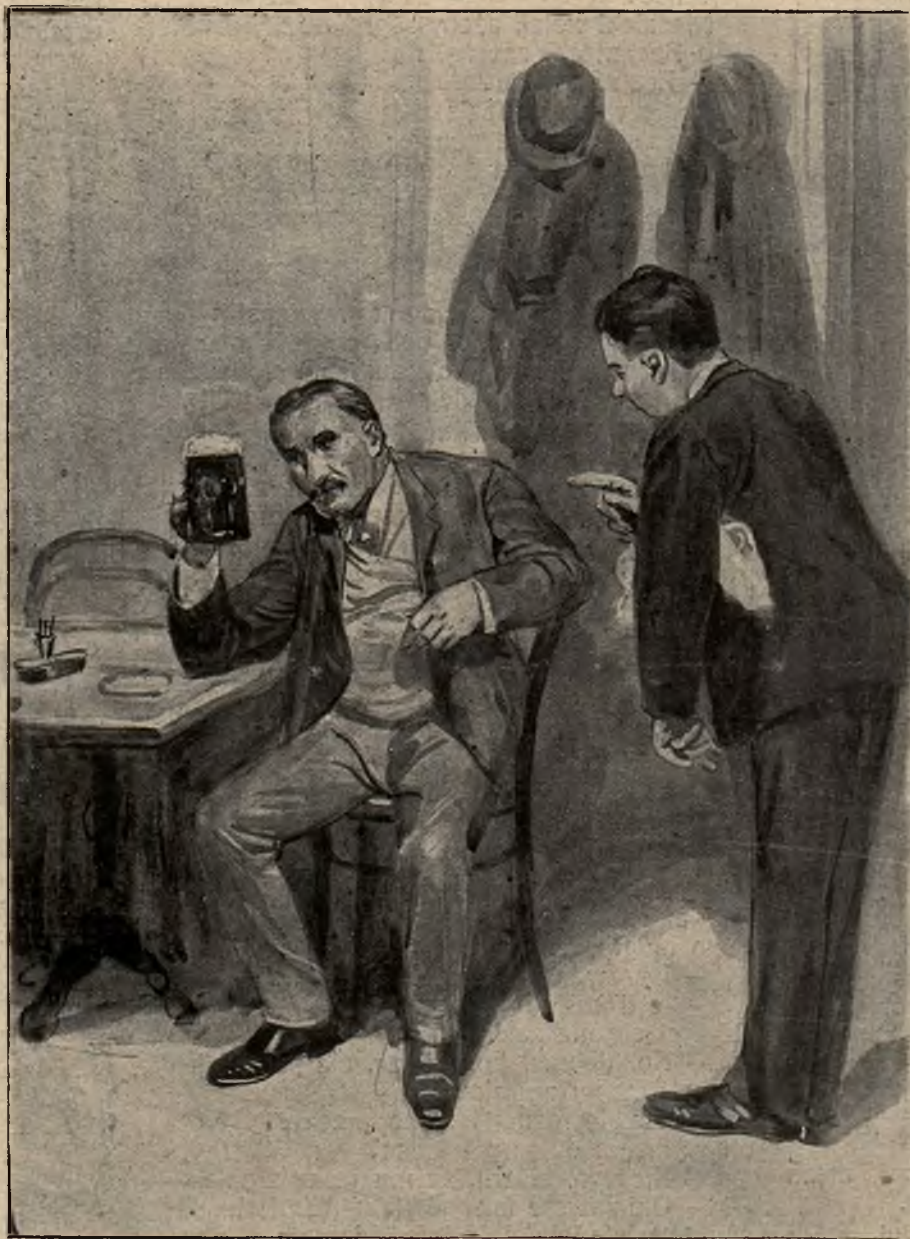
— Nie mam potrzeby ukrywania, to są kłopoty z żoną.

— Z żoną! — zaśmiał się prezes głośno, a goście z innych stolików spojrzeli w jego stronę, — a to paradne! — śmiał się, — i radca nazywa je: prywatne? Słyszysz pan budowniczy? — zwrócił się ze śmiechem do Wineckiego, — słyszysz pan radca? — spojrzał na Szabelskiego, który także raz kandydował na rajcę miejskiego.

Właściwie, ani Szabelski, ani Winecki, nie widzieli nic śmiesznego, ale prezes był kapitalistą, właścicielem kamienicy i zawsze bądź co bądź prezesem, więc, ich dobre wychowanie nakazywało brać udział w jego śmiechu.

Ta ogólna wesołość ze słów jego obraziła Orszyckiego, wyjął z ust cygaro i rzekł zniecierpliwionym głosem:

— Nie rozumiem tego śmiechu, bo i co jest w tem zabawnego, że mam kłopot z żoną?



Następnie podniósł szklanicę w górę, pod światło, popatrzył, znów skinął głową...

— Ależ radco, — usprawiedliwiał się prezes, — nie kłopot z żoną jest śmieszny, ale to, że radca nazwał te kłopoty prywatnymi.

— A to mi się podoba, — zawołał Orszycki prawie oburzony, — czyż mój kłopot z żoną należy do publicznych? Czy dałem powód do skandalu? Czy pisano o mnie w gazetach?

— Zaraz, radco, — mówił prezes poważnie, — zważ radco, że małżeństwo jest instytucją publiczną i kościelną. Tak, czy nie?

— No, tak, — potwierdził głosem niepewnym, nigdy bowiem nie wiedział, czy zdanie jego jest słuszne i czy utrzyma się wobec przeciwników.

— Jeśli tedy małżeństwo jest sprawą publiczną, więc i kłopoty z żoną są publiczne, a nie prywatne. Czy nie tak? — śmiał się, a wraz z nim Szabelski i Winecki.

Nie mógł się na razie połapać Orszycki i z miną zaskoczoną mówił:

— Co też prezes gada? Wstyd doprawdy; co ma moja żona wspólnego z publicznością?

— Ależ radco, trochę zastanowienia, — upominał prezes przyjaźnie, — każdy żonaty ma kłopoty z żoną, czyli że takie kłopoty są powsze-

chne... Czy radca Szabelski nie ma kłopotów z żoną?

— Hm... wielkich, co prawda, nie mam, ale niedawno zachorowała mi na serce. Doktor, panie tego, radził wyjazd, ale jej jakoś wyperswadowałem... kupiła sobie jakąś suknię, no i myślałem, że już spokój...

— No i co? — spytał z żywością Orszycki.

— Ano, z nią dobrze, ale dziecko coś niedomaga, jakiś kaszel, duszności, nie wiem, panie tego, co powie doktor? Może każe wyjechać? A to panie kłopot, — westchnął Szabelski, — niewygoda tutaj, a płac, a dawaj, a pilnuj...

— Żonę, — przerwał mu z uśmiechem prezes, — toć wiadomo, że każda kobieta potrzebuje opieki i nadzoru.

— Hm... coś w tem prawdy, — skinął głową Orszycki, — młoda i ładna żona podoba się, to wiadome i potrzebuje opieki.

Szabelski zgodził się natychmiast na ten pogląd, natomiast prezes uśmiechnął się złośliwie, a Winecki rzekł z naciskiem:

— To zależy od męża. Jeśli mąż pozwala zrazu żonie na wszystko, wtedy ona paraduje, robi, co chce, stroi się dla drugich i jeśli on nie chce mieć rogów, musi pilnować. Ale u mnie inaczej, żonę wzięłem dla siebie, nie dla posagu i protekcji, — pił do Szabelskiego, — ani też dla wyprawy, — spojrzał na Orszyckiego, — musi mnie słuchać, a ja nie pozwalam na żadne fanaberie.

— Przechwałki i tyle, — zaśmiał się prezes, — mam, chwała Bogu, blisko siódmy krzyżyk, a jeszcze nie widziałem męża, któregoby żona nie wodziła za nos... Hej! Piwa!

— Ołóż teraz zobaczy prezes takiego, — zawołał Winecki, — zaraz opowiem. Może dwa, może trzy tygodnie temu widzę, że coś brakuje żonie. Pytam po dobroci, Romciu, co tobie? A ona odpowiada, nic mi, tylko ty, niby ja, niecierpliwy, rozdrażniony... Jakże nie mam być, mówię do niej, kiedy ty taka osowiała, ni do tańca, ni do różańca. Dopiero wylazło sztydło z worka... No, zgadnijcie, co? — spojrzał po wszystkich, zapalił cygaro i nadpił piwa: — Myślicie, że chora? Co?

— Pewno na serce, — dorzucił Orszycki.

— Nie! Prosi mnie, ażebyśmy pojechali na wieś, bo ja tego potrzebuję dla zdrowia. Widzę ja, że jej się zachciwa pańskiej zabawy, bo czuje u mnie parę groszy i powiadam: basta. Zapowiedziałem jej, że nie wyjadę, a ty chcesz, to jedź sobie na wieś! Tak jej zagrałem. Na chyłkość, chyłkość, — spojrzał dumnie po obecnych.

— No i co? — spytał Szabelski, zaciekawiony.

— Cóż miało być? — uśmiechnął się Winecki lekceważąco. — Dopiero ona w prośby, w płacz, koniecznie, żebym jechał, że bezemnie nie po-

jedzie, ale ja, co raz postanowię, musi tak być. Zapowiedziałem, że dość mam tych kwękań nad sobą, pojedziesz sama, chciałaś się pochwalić, że wyjedziemy na lato, nic z tego, jedź sama.

— I dokąd to, panie budowniczy? — patrzył na niego bacznie Orszycki.

— Jeszcze nie wiem, ale do żadnych modnych zdrojowisk, nie do Zakopanego... Zapakuję ją do odległej wioszczyny i siedź tam w chałupie. No, odechce się jej wyjazdu na przyszły rok, — śmiał się, zadowolony ze siebie.

— To dobry sposób, — pochwalił Szabelski, — ale nie z każdą. Ja na ten przykład potrzebuję żony, mam w swoim czasie wszystko. To też nie pozwoliłem jechać i samemu nie chce mi się wyjeżdżać, chociaż nalegała i prosiła.

— Ja powiem wam, moi panowie, — zaczął prezes, — od trzydziestu lat siedzę przez całe lato w mieście i czuję się najzdrowszy. Czy mam gdzie takie wygodę, jak u siebie, w domu? Lem, co chcę; piję, co zapragnę; śpię, kiedy senny; a chcę się wykapać, mam wodę. I wam radzę siedzieć na miejscu, jeśli chcecie być zdrowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)